

B Ł



A D

Zbiór krótkich opowiadań PROwincji

PROWINCJA

BŁĄD

Błąd. Zbiór krótkich opowiadań Prowincji
Wybór tekstów

PROWINCJA

Komprachcice 2018

Wydawczyni
Fundacja Manowce Kultury

**MANOWCE
KULTURY**

www.manowcekultury.com

©Fundacja Manowce Kultury oraz autorzy i autorki

Ilustracje: Mots | [instagram.com/umots](https://www.instagram.com/umots)

Redakcja: Zuzanna Majer

Korekta: Zuzanna Majer, Jagoda Cierniak

Opracowanie graficzne, skład: Iwona Jarosz

Koordinacja projektu: PROwincja | www.prowincja.art.pl

Wydawnictwo Manowce Kultury

Komprachcice 2018

ISBN 978-83-950575-0-2

Błąd może kosztować wiele, może też być miłym przypadkiem, który wpływa na nasze koleje losu. Może doprowadzić do katastrofalnych konsekwencji albo przynieść fortunę i szczęście. Nacechowany negatywnie jako akcydentalna sytuacja może mieć zaskakujące rezultaty. Przykładowe możliwości wydarzeń, które zobrazowane były np. w *Przypadku* Kieślowskiego czy *Biegnij Lola, biegnij* Toma Tykwera, pokazują, jak dużo zależy od nas, ale i od rzeczy, na które nie mamy wpływu i od ludzi, którzy mogą nasze plany pokrzyżować.

Pojawia się pytanie o to, czym jest błąd, bo pomimo oczywistej semantyki, w zależności od kontekstu może być zaskakującym ruchem, który przyniesie nam nieoczekiwane konsekwencje; śmierć, miłość, lepszą pracę, dziesięć złotych na asfalcie...

Błąd. Zbiór krótkich opowiadań PROwincji to publikacja, której celem jest dotknięcie literackiego spectrum błędu. Pomyłki pojawiają się wszędzie. W międzynarodowej polityce, analizach socjologicznych, badaniach medycznych, wysłanych mailach, czy ilości łyżek cukru wsypanych do herbaty. A i z pewnością w prezentowanych tekstach. Treści Autorów i Auterek dopełniłyśmy cyklem ilustracji Diogo Ruasa, których punktem wyjściowym był glitch.

Chciałyśmy, jako redaktorki, zwrócić uwagę na mniej popularną na współczesnym rynku wydawniczym formę literacką, czyli krótkie opowiadania. Często publikowane w sieci, na prywatnych blogach, czytane podczas spotkań autorskich, pojawiające się w czasopismach literackich zdają się, być formą ulotną. Mozaika tekstów dotyczących jednego, konkretnego motywu przewodniego staje się literackim wachlarzem dyskursu, w tym przypadku, błędów. „Mylić się, jest rzeczą ludzką, trwanie w błędzie to już rzecz diabelska”, rzekł francuski filozof Canguilhem. Jeśli diabelskie mogą być konsekwencje pomyłek, tym bardziej mamy nadzieję, że lektura opowiadań wokół pojęcia błędu przyniesie Czytelniczkom i Czytelnikom wiele inspirujących pytań.



Niektórzy uznawali nas za idealną parę. Podstawowym łącznikiem związku (oprócz chemii) była undergroundowa nisza nisz i przekonanie, że wszelka kultura popularna to zło. Najbardziej gardzieliśmy tymi, którzy uważali tak samo, ale zadziwiająco dobrze orientowali się w tym, jakie obecnie są trendy. Postawa „poznaj swego wroga” nie interesowała nas zupełnie. Można powiedzieć, że mieliśmy dość łatwo. Wtedy wystarczyło nie mieć telewizora i nie zaglądać do gazet i już cały światowy glamour zniknął z horyzontu. Okazało się jednak, że podziw dla gwiazdorstwa nie da się tak łatwo wyrugować z podświadomości, a nieznajomość popkultury może zaszkodzić równie poważnie, jak ta dotycząca prawa.

Idąc wzdłuż betonowego parkanu, natrafiało się na małą dziurę. Puste butelki po piwie, kiepy i resztki papieru zwiastujące obecność min. Jeżeli ktoś się przemógł, przebrnął przez przedpole i zwalczył strach przed mityczną żulernią, to trafiał do rajy. Resztki dawnych boisk otoczone były pierścieniem drzew. Leżąc na wybujałej nieco murawie, można było zapomnieć, że wokół znajduje się moloch i jego żarłoczni agenci deweloperzy. Korzystając z resztek zardzewiałej infrastruktury, grywały tam w piłkę studentki Erasmusa razem z nieformalną lesbijską reprezentacją miasta. Korzystając z dość otwartej formuły meczów, dołączyliśmy do gry. Po jednym ze spotkań wracaliśmy do domu razem z resztą zawodniczek. Szedłem sam na przedzie, wystawiając się na mocno grzejące słońce. Nagle posłyszałem niepokojącą rozmowę z tyłu.

– To twój brat czy gej przyjaciel?

– Mąż.

– Aaa (ze smutkiem). Kurde, wiesz? On jest podobny do Thoma Yorka.

Dzięki swojemu fundamentalizmowi ani ja, ani żona nie wiedzieliśmy któż to taki. Po chwili jednak poczułem jej dłoń wślizgującą się w moją i resztę drogi przebyliśmy czule objęci, co ostatnio rzadko

się nam zdarzało. Pewnie zyskałem ponownie w jej oczach jako ktoś podobny do kogoś sławnego (i zapewne pięknego). Nie wiedzieliśmy tylko z jakiego powodu sławnego, ale to nie przeszkadzało mi świecić odbitym blaskiem. Po dojściu do domu przygotowałem sobie szybką kąpiel, a żona zasiadła do komputera. Gdy nalewałem wodę, usłyszałem gitarowe riffy (później już dowiedziałem się, że to *Just* zaczynający się sceną z wanną), a gdy wszedł wokalista, pełen zawodu okrzyk:

– Thom Yorke to brzyda!

Lucjan Gregory

Rocznik 1979, Kraków. Magazynier-rentier, ale z marzeniami.



Obudziłeś się w nocy i widzisz błyszczące oczy swojej matki. Żarzą się jak najprawdziwsze węgielki.

– Nie śpisz?

– Nie, ale ty śpij. – Czuwam, aby woda cię nie porwała.

Całuje cię w czoło i szybko ściera ślad po ustach. Wiesz, że nie zaśnie. Przykładasz jej dłoń do policzka, a ona – to już rytuał – wchodzi pod twoją kołderkę i przytula się do ciebie. Po chwili zasypia, płytko i niespokojnie, serce wali jej w piersi, jak maleńka perkusja na baterie. Teraz ty czuwasz nad jej snem. Żadna woda was tu nie dosięgnie na tym łóżku jak na tratwie. Dobrze, że jutro jest sobota.

W twoim bloku nie ma fajniejszej paczki niż ty, Sylwek, Kondzio i Olek. Sylwek jest mały, ale silny. Kondzio ma największe na świecie zbiory naklejek z dinozaurami (nawet jego brat poświadczył). Olka starszy pije, choć są bogaci. Ty masz najlepsze stopnie i zostaniesz WY NA LA ZCĄ. Marzysz tylko o tym, by wybiec z kolegami. Od tygodni planujecie bazę w kanciapie przy pralni.

– Nie będziecie bawić się w rzece?

– Nie, mamó.

– Obiecaj, że nie będziecie bawić się w rzece.

– Będziemy na strychu.

– A on nie przecieka?

Będzie się teraz tak pytać i drążyć. Rośnie w tobie złość jak ziarnko fasoli, napompowane wodą. Kątem oka dostrzegasz łzy na jej rzęsach. Ogarnia cię wstyd i czułość.

– Mamuniu, mamusi! Obiecuję, że tam nie będzie żadnej wody. Założę kalosze i deszczowiec, dobrze? I jakby tylko zaczęło padać, to przybiegnę... – Mama uśmiecha się smutno, ale i z politowaniem jak chory na raka do lekarza, który przekonuje go, że od picia mleka zniknie mu guz na płucu. Ze spuszczoną głową odchodzisz. Bardzo, bardzo wolno.

– Śmieeeeeerdzieeeeeee! Śmieeeeeerdzieeeeeee! – Koledzy entuzjastycznie reagują na twoje przybycie – mamy krzesło obrotowe od starego Olesia i wazonik, będzie można nawkładać jakichś kwiatków albo badyli, będzie jak w domu! – podnieca się Kondzio.

– Po co ci te kalosze? I płaszcz? – dopytują – Szczerze? Jak się spocisz, to będziesz jeszcze większym skunksem, no wiesz bez obrazy...

Zdejmujesz płaszcz i z nadmiernym zainteresowaniem przyglądasz się fotelowi na kolkach.

Dobrzy z nich kumple. Jedyni, jakich masz. Ale czasem potrafią być tacy niedelikatni... Czy oni nie wiedzą, że woda nie jest, za bardzo zdrowa dla ciała, więc mycie się nie jest bezpieczne? Że w każdej chwili mogą wyjść wody z rzek, że może być powódź? Taka wielka, która zaleje całą Polskę, a potem świat... Ciekawe, jakie wtedy będą mieli miny w tych swoich krótkich spodenkach i tenisówkach... Wiesz, że nie wiedzą, bo jak im o tym mówisz, to przezywają cię świadkiem Jehowy i rysują palcami przy czole kółka. Nikt nie wie. W szkole raz słyszałeś jak Mańkowska od matmy i wychowawczyni, gadały, że twoja mama to syfiara: „Nie ma co się dziwić, że z małym jest, jak jest”. Nienawidzisz ich za to. Nieświadome krowy. Nie zabierzecie ich z mamą na swoją szalupę ratunkową, niech idą na dno, bul, bul, bul...

Nie ma co dumać, trzeba urządzać waszą bazę! Na ścianie wielki plakat Michaela Jacksona, stół ze starych desek, wspaniałe obrotowe krzesło i skrzynia z dykty na karty i świerszczyki... Oto prawdziwa komnata twardej! Trochę się kłóćcie, kto się będzie kręcił na fotelu. Potem jecie sezamki i z jak najbardziej znużoną miną oglądacie pisma dla dorosłych. Nie da się długo trzymać emocji na wodzy: Ale szparka, woow co za balony, ta Murzynka z siódmego pietra ma podobne, jaki wielgachny wacuś! Czujesz, że nie wytrzymasz... Robi ci się mokro

w majtkach, choć się nie zsikałeś ani to nie powódź. Troszkę ci słabo i kreci się w głowie... Po chwili wszyscy leżycie na zimnej podłodze kanciapy, trzymając się za ręce. Jak byście byli pijani, choć przecież nie wypiliście ani kropelki piwa Okocim, które tyle razy obiecywał podwędzić tacie Sylwek. W ustach czujesz smak sezamków a w powietrzu słodko-słony zapach. To twoi najlepsi kumple.

Kiedy wracasz do domu, jest już naprawdę późno. Mama blade jak ściana i dla równowagi z różowymi oczami, wstaje z dywanu w salonie.

– Syneczku! Mój kochanych aniołku! Tak się bałam! Byłam pewna, że woda cię zabrała! Pytałam po sąsiadach, rozmawiałam z mamą Olesia. Nie możesz na tak długo znikać! To zbyt niebezpieczne!

Krzyczy, ale uśmiecha się, całuje cię w głowę, i ze śmiechem powtarza:

– Już nigdy mnie nie zostawiaj syneczku, aniołeczku!

Tobie nie jest do śmiechu. Wiesz, co będą mówić w szkole dzieciaki z bloku. „Twoja stara to wariatka”. Wychowawczynie (głupia krowa) weźmie cię na stronę i będzie pytać o pierdoły. Potem będą gadać z innymi głupimi krowami, patrząc w twoją stronę i kręcić głowami. Pamiętasz, co zrobiłeś Mańkowskiej, jak obgadywała mamę: skonstruowałeś poduszkę-pierdziuszkę i jej położyłeś na krzesło. Wszystkie chłopaki potem mówili: Respeeekt śmierdziel! Respeeekt! A dziewczynki udawały oburzenie, ale też się śmiały, kiedy Mańkowska siedała, a po klasie rozlegał się ten dźwięk (hihi). Co to za problem, dla ciebie, przyszłego wynalazcy, taka poduszka.

– Nie mogę spać, chyba będzie padać. Chodź, napompujemy, tak na wszelki wypadek. Ponton trzymacie w szafie w korytarzu, tuż obok zapasów na wypadek powodzi: suchego chleba, konserw, zupek w proszku...

Kiedy kończycie dmuchać, jest druga w nocy. Wygodnie mościecie się w środku, przykrywacie kocem z salonu i zadowoleni ze swojej przebiegłości, w miarę szybko zasypiacie.

Rano okropnie bolą cię plecy, a mama złości się o zostawiony w kanciapie przeciwdeszczowiec. Wyrывasz się z jej uścisków, ale gdy wychodzisz na podwórko, ona stoi na balkonie i krzyczy na całe osiedle: uważaj na siebie mój rycerzyku! Omijaj kałuże, nie myj rąk, uciekaj przed deszczem...

Naprawdę, dużo lepiej było, kiedy mama pracowała. Rano wychodziliście razem, więc nie krzyczała na całe podwórko, tylko dorażdała ci półszepem (różnica nie do przecenienia).

Zamiast łązić po sąsiadach i przestrzegać przed wodą siedziała w swojej firmie i obliczała różne słupki. Było też więcej pieniędzy na gromadzenie zapasów.

To było na biologii. Akurat omawialiście różnicę między pręcikami a słupkami w kwiecie jabłoni, a ty tłumiełeś ziewnięcie, kiedy potężna fala otworzyła drzwi i zmyła z ziemi ławki, krzesła... i oczywiście was. Dzieciaki wpadły w panikę. Piegowata Anitka uwiesiła się skrzydła od tablicy, za jej przykładem próbowali pójść inni twoi koledzy, ale dla wszystkich nie starczyło miejsca. Gruba pani Kluś od biologii wskoczyła na ławkę, a kiedy woda ściągnęła stamtąd dziennik, przerażona próbowała wykonać krok na szafę. Nadęła się jak ryba dymka, lawirowała przez chwilę między nauczycielską katedrą a szafą, totalnie obojętna na krzyki, histeryczne śmiechy i łkania swoich uczniów.

Jesteś absolutnie spokojny. Trochę ganisz się w myślach, że dałeś odpłynąć plecakowi (był w nim suchy prowiant), ale dmuchane koło nosiłeś zawsze w sakiewce na brzuchu.

Przećwiczyłeś tę sytuację nie raz. Po chwili rozłożony w swoim kole niczym leniwy plażowicz (cóż z tego, że kompletnie ubrany)

płyniesz korytarzami szkoły, obserwując swoich rozpaczliwie walczących z wodą kumpli. Bardzo chciałbyś im pomóc, ale wiesz, że to niemożliwe. Przegadałeś to z mamą tysiąc razy. O wilku mowa! Płynie w waszym żółtym, błyszczącym pontonie, piękna i dostojna jak nigdy. Z jej oczu bije spokój, włosy ślicznie powiewają na wietrze. Po raz pierwszy od wielu, wielu dni ma zaróżowione policzki i nieściśnięte usta. Zaraz do ciebie podpłynie. Odtąd będziecie pływać po zalanym świecie i nic już wam nie zagrozi. Dwaj dzielni marynarze, ty i twoja matka.

OLGA ŚLEPOWROŃSKA

Rocznik 1985. Psycholożka kliniczna, animatorka kultury.

Mama Roszka i ldy.



ZAGINIONE OPOWIADANIE Jacek Brzozowski MURAKAMIEGO

Nazywam się... Zresztą, czy to ważne, jak się nazywam? Zawsze myślałem, że nie ma to najmniejszego znaczenia. Nie mamy przecież wpływu na wybór naszego imienia przez rodziców, a z nazwiskiem od razu się rodzimy. To dziwne, jak los, od którego w najwyższym stopniu zależy, potrafi odmienić życie i całe, ukształtowane przez wiele lat, myślenie o czymś. Na przykład o listach. Zupełnie nie pojmuję, z jakiego powodu przytrafiło się to właśnie mnie. Zawsze wiodłem zwyczajne, w miarę uregulowane życie. Wstawałem około dziewiątej, czasem dziesiątej, ponieważ pracowałem przeważnie w nocy. Kiedyś mi to przeszkadzało, ale z czasem, z upływem kolejnych lat, przywykłem. Brałem prysznic, przy śniadaniu czytałem poranną gazetę lub oglądałem TV, a później robiłem zakupy w pobliskim sklepie spożywczym. Raz w tygodniu zahaczałem o pralnię i położony obok niej sklep z płytami. O ile wiem, był to jedyny sklep w okolicy, w którym sprzedawano wyłącznie jazz.

W tym czasie Kiyomi była już w pracy. Poznaliśmy się jeszcze w trakcie studiów. Ja bez większego entuzjazmu skończyłem inżynierię, a ona architekturę. Wydawało mi się, że pasujemy do siebie – choćby z wykształcenia. Czułem, że w jakiś sposób się uzupełniamy. Ja mogłem projektować mosty, a ona je budować. Poza tym do dziś pamiętam, jakie nadzwyczajne mrowienie czułem na widok wewnętrznej strony jej nadgarstków. Czy to niedziwne?

Od odebrania dyplomów minęły cztery lata i właśnie postanowiliśmy się pobrać. Ja rozpocząłem nową pracę u pana Saburo, a ona w biurze swojego zamożnego stryja Hanga. Wszystko układało się w miarę poprawnie. Mieliśmy stałe, choć nieduże jak na Tokio połowy lat 80. dochody i mieszkaliśmy w jednym z ładnych domów na przedmieściach, udostępnionym nam na jakiś czas przez stryja Kiyomi. W połowie na podwórku, a w połowie w domu, zamieszkiwał z nami kot Księżyc. Nie wiem, jak do tego doszło i dzisiaj czasem

zastanawiam się, czy nasze życie nie mogłoby potoczyć się dotychczasowym utartym i spokojnym torem, gdybym któregoś dnia nie wyciągnął tego opowiadania z naszej skrzynki na listy. Czy moje życie nie uległoby wówczas tak niepokojącej zmianie? Ale czy mogłem tego nie zrobić? Nigdy nie znalazłem odpowiedzi na te pytania. Przyjąłem więc, że tak po prostu chciał los.

Było wówczas czerwcowe, ciepłe popołudnie. Ptak gniazdujący na jedynym na naszym podwórku drzewie wyśpiewywał swoją codzienną pieśń, czyniąc to z taką regularnością, jakby został wcześniej nakręcony ze skrupulatnością szwajcarskiego zegarka. Siedziałem właśnie na ganku przed domem i rozmyślałem nad listą gości weselnych. Nie mogliśmy co prawda pozwolić sobie na odłożenie pieniędzy na ten cel, ale stryj Kiyomi zadeklarował pełne pokrycie kosztów. W zamian miała pracować u niego co najmniej przez następne trzy lata. I tak nie spieszyła się do zmiany pracy, więc z ochotą na to przystała. Osobiście sądziłem, że tak naprawdę Hang chciał w ten sposób spłacić jakiś nieokreślony dług wdzięczności wobec jej ojca. Nigdy nie poruszał tego tematu, ale przypadkiem dowiedziałem się, że kiedyś uratował go z poważnej, choć bliżej mi nieznannej opresji.

Gdy tak nad tym rozmyślałem, do skrzynki stojącej na skraju trawnika, jakieś pięć metrów ode mnie, podszedł listonosz. Szybkiem, wprawnym ruchem sięgnął do torby i wyciągnął dość grubą kopertę formatu A4. Natychmiast oceniłem, że wypełniać ją może przesyłka o grubości jakichś 100, może 120 stron. Doręczyciel przez sekundę przyglądał mi się, po czym mrugnął jednym okiem i upchnął przesyłkę w skrzynce, która przypominała z wyglądu podłużną klatkę dla zwierząt. A ściślej mówiąc, dla kotów. Była ona spora, metalowa i biała, z zaokrąglonym daszkiem, taka w zupełnie amerykańskim stylu. Mimo to koperta weszła do środka z niejakim trudem.

Czy on mrugnął, czy też mi się tylko wydawało?

– Przepraszam pana – powiedziałem, choć zupełnie nie powinienem przepraszać. – Mogłem przecież wziąć ją do ręki...

– Przykro mi. Takie mamy procedury. List musi wylądować w punkcie, czyli w skrzynce. Do widzenia – rzekł bezbarwnie listonosz i momentalnie oddalił się. Gdy to mówił, na jego twarzy nie pojawiła się najmniejsza nawet rysa sugerująca jakąkolwiek emocję, którą miałby przeżywać. Nic. Biała kartka. Z niedowierzaniem potrząsnąłem głową i wróciłem do domu po klucz do skrzynki.

Choć od razu tego nie pojąłem, to od tego momentu przesyłki zaczęły kojarzyć mi się z czymś niechcianym i uciążliwym. No, może nie wszystkie przesyłki. Ale ta konkretna na pewno. Z braku czasu rzuciłem ją gdzieś na stertę gazet i wkrótce, angażując się w robienie jedzenia, o niej zapomniałem. Na wieczór wybierałem się do pracy w klubie, więc musiałem jeszcze pomyśleć o goleniu i niezbędnej toalecie.

Następnego dnia, około ósmej rano, zadzwonił telefon. Biłem się z myślami, kto to mógł być, lecz nie chciało mi się wstawać. Miałem wolne. Była niedziela i choć pan Saburo czasem prosił mnie, bym został w knajpce również i na dzień, akurat tym razem mnie nie potrzebował. Kiyomi mawiała czasem z pretensją, że „Peter Cat” był moim drugim domem. Zwłaszcza gdy wracałem zmęczony nad ranem, przesiąknięty papierosowym dymem i jazzem na żywo. Choć ukończyłem dość znaną uczelnię, otrzymanie jakiegokolwiek posady bez znajomości w tej branży było bardzo trudne. Im bardziej się temu przyglądałem, tym wyraźniej widziałem, że o karierze decyduje pokrewieństwo i koleżeńsko-biznesowe relacje, nie zaś prawdziwy talent. Nazwiska powtarzające się na etykietkach biur tylko utwierdzały mnie w tym przekonaniu. Zresztą ja – talentu i tak nie miałem. Praca w klubie nie była taka ciężka, tylko dość rozciągnięta w czasie. Za to po niektórych wieczorach napiwki pozwalały nam na różne przyjemności,

w rodzaju wypadu do kina, zoo, czy na basen, albo za miasto. W ten weekend postanowiliśmy się po prostu wyspać.

Dlatego, patrząc na leżącą Kiyomi, uznałem, że lepiej będzie nie odbierać tego telefonu. Po sześciu dzwonekch umilkł, a ja odpiąłem w sen.

Obiad zazwyczaj przygotowywała Kiyomi. Wyjątkiem były niedziele, gdy starałem się ją wyręczyć. Tak było zawsze i nawet nie potrzebowaliśmy tego w jakikolwiek sposób uzgadniać.

– Ciekawe, kto mógł dzwonić tak rano – zastanowiła się głośno.

Rzeczywiście, było to u nas dość rzadkie. Poza jej stryjem nasz numer znało może kilka jej przyjaciółek.

– Myślałem, że spałaś. Dlatego nie odbierałem.

Podczas gdy ja przygotowywałem spaghetti, ona siedziała w kącie przy stole i przeglądała kolorowe pisma adresowane do zamożnych i eleganckich kobiet, które widywaliśmy czasem w centrum. Tym razem postanowiłem trochę zmodyfikować przepis. W gotowaniu także nie byłem najlepszy. To zupełnie naturalne, jeśli rzadko się gotuje. Gdy obserwowałem przy tej czynności narzeczoną, wydawało mi się, że jej rękę prowadzi jakaś inna, niewidzialna i dużo pewniejsza. Ręka, która decyduje bez udziału głowy ile dodać jakich składników, oraz jak je przyprawić.

Mój stały repertuar to jajecznica na śniadanie (wychodziła mi naprawdę niezła, zwłaszcza jeśli jajka nie były za bardzo ścięte) oraz ryż z mięsem z kurczaka i dodatkami, a także spaghetti. Dzisiaj postawiłem na to ostatnie. Wyjąłem z szafki nad blatem makaron i nastawiłem pół garnka wody. Gdy rozkładałem talerze i sztućce, znów zadzwonił telefon. Niechętnie odłożyłem wszystko na stół i poszedłem do aparatu, który był w przedpokoju. W słuchawce usłyszałem kobiety, a może nawet dziewczęcy głos:

– Dzień dobry. Dzwonię z wydawnictwa Takamura.

Nic mi to nie mówiło. Odpowiedziałem więc tylko:

– Dzień dobry.

– Zapewne zastanawia się pan, o co może chodzić...

Rzeczywiście, zastanawiałem się, o co może chodzić. Pewnie to znowu jakaś nachalna oferta, z którą dzwonią kilka razy w tygodniu.

– To pani telefonowała tak rano?

Zbyła moje pytanie cichym kasznięciem i od razu przystąpiła do opowiadania swojej historii.

– Mam prośbę, aby posłuchał mnie pan przez tylko piętnaście sekund.

Odruchowo spojrzałem na zegarek, po czym kiwnąłem głową:

– Proszę mówić.

– No cóż.... Otóż kilka dni temu nadałam pocztą bardzo ważną przesyłkę. Niestety, nie dotarła do celu.

– Tak, rozumiem. – odparłem, choć nic z tego nie rozumiałem. Przystąpiłem z nogi na nogę. – Czy to ma coś wspólnego ze mną? Bo aktualnie jestem troszeczkę zajęty...

– Bo widzi pan... To nie jest zwykła sprawa.

– Ale czy musi pani dzisiaj...

– Tak – zawiesiła wyczekująco głos, po czym dodała:

– Bardzo proszę mnie posłuchać.

Dziewczyna nie była chamska, jak wypaleni telefoniczni akwizytorzy, którzy stają się bardzo niegrzeczni usłyszawszy odmowę, była raczej zdeterminowana. Było w jej głosie coś, co mimo wszystko kazało mi nie odkładać słuchawki. – Otóż chodzi o to, że była to bardzo w a ż n a przesyłka, która nie powinna trafić w niczyje niepowołane ręce.

Piętnaście sekund minęło, a ja właściwie niczego się nie dowiedziałem. Zaczynałem tracić cierpliwość. Dzwoni do mnie nieznana

kobieta i z miejsca, właściwie, obraża. Jakby odczytała te myśli, bo natychmiast zreflektowała się:

– Oczywiście proszę nie mieć urazy, jeśli to zabrzmiało niegrzecznie.

– Nie będę miał – zapewniłem ją. – To nie brzmiało niegrzecznie.

– Przechodząc do rzeczy: myślę, że pański list należy do mnie.

– Jak to?

Dziewczyna wyjaśniła, że jest asystentką Harukiego Murakamiego, sławnego pisarza, który przypadkiem nazywa się tak samo, jak ja. List zawierający najnowsze i nigdzie jeszcze niepublikowane opowiadanie, warte bardzo dużo pieniędzy, został omyłkowo wysłany pod nieistniejący adres. Doszła do tego wniosku dzisiaj rano, właśnie wtedy, gdy dzwoniła. List wrócił, jak wyraziła swoje przypuszczenie, nie do tego Murakamiego, co trzeba.

Z kuchni dobiegło zapytanie Kiyomi:

– Nakarmiłeś Księżycza?

No tak, zupełnie zapomniałem. Dziś niedziela, więc zgodnie z obietnicą kot też jest na mojej głowie.

– Halo? Jest tam pan? – odezwał się głos z telefonu, wrywając mnie z zamyślenia.

– Tak. Tak. Muszę nakarmić Księżycza. Przepraszam, ale chyba, kiedy indziej dokończymy tę rozmowę. Mam zupełnie inne rzeczy na głowie.

– Co? Nie rozumiem.

Jej głos przybrał taką barwę, że niemal widziałem, jak dziewczyna na drugim końcu

słuchawki podnosi brwi.

– Chodzi o kota – wyjaśniłem.

– Ale dlaczego nazywa się tak dziwnie?

– Księżyc? – tym razem to ja uniosłem brwi.

Po kilku latach tak bardzo przywykłem do jego imienia, że byłem zaskoczony takim pytaniem.

– Zaraz, zaraz – zastanowiłem się. To musiało być jakieś zdarzenie z przeszłości...

W tym momencie z kuchni dobiegło kolejne wezwanie. Kiyomi mówiła, żebym już kończył, ponieważ jest głodna. To oczywiście oznaczało, że powinienem natychmiast kończyć zarówno rozmowę, jak i rozważaniami o imieniu kota, bo inaczej będzie awantura. A potem wypominanie przez następne dni i odmawianie w łóżku. Zresztą miałem czasem wrażenie, że celowo wywołuje awantury, aby mieć pretekst do odmowy. W kluczowym momencie zawsze mogła powiedzieć, że jest nadal na mnie zła, albo zwyczajnie powołać się na któryś z licznych repertuaru powodów, od bólu głowy poczynawszy, a na złamanym paznokciu skończywszy. Ta myśl dodatkowo mnie przygnębiła.

– Niestety, naprawdę muszę kończyć.

– Obdzwoniłam wszystkich Harukich Murakamich w Tokio – ciągnęła, nieco unosząc ton. Wyczułem w nim ślad irytacji, pomieszanej z lękiem. – Pan jeden nie odpowiedział, czy dostał opowiadanie w liście, czy też nie.

– Haruki? – dobiegło z pokoju.

– Proszę zadzwonić kiedy indziej. Do usłyszenia – oznajmiłem beceremonialnie.

– Ale co z moją przesyłką? To bardzo pilne, bo... Ja mogę stracić przez to pracę!

Przez chwilę rozważałem wszystkie za i przeciw. Kiyomi i tak już była zdenerwowana, co z pewnością oznaczało nici z wieczornego seksu. Natomiast jeśli poświęcę kobiecie z telefonu jeszcze tylko minutę, będę miał choć jeden problem z głową.

– No dobrze... – rzekłem zrezygnowany. – Rzeczywiście, byłą

jakaś dziwna przesyłka. Nie widziałem, co to jest. Proszę zaczekać, zaraz wrócę.

Gruba koperta zdążyła już zostać przykryta przez stertę gazet i ulotek tak, że wystawał jedynie mały fragment białej powierzchni. Wracając z nią do telefonu, minąłem narzeczoną, która świdrowała mnie kąjącym wzrokiem. Uniósłem na nowo słuchawkę i odczytałem napisy.

Stwierdziłem, że to musiało być to, czego szuka. Powiedziałem o tym do słuchawki. Lekko drżącym z radości tonem dziewczyna zapowiedziała:

– Niedługo przyjadę po nią metrem. Postaram się być za trzy godziny.

Ta historia z pewnością skończyłaby się w zwyczajny sposób, gdyby nie to, że niebawem po tym telefonie, Kiyomi mamrocząc coś o tym, bym nie zbliżał się do niej wieczorem, pojechała na zakupy.

Jakiś czas potem zadzwoniła z budki. Była zapłakana i oświadczyła, że miała stłuczkę.

Niewielką, ale dwoje drzwi od strony pasażera będą do wymiany. Pięknie, jeszcze go nie splotaliśmy, pomyślałem, zakładając bluzę.

Gdy przekraczałem próg, ona już czekała. Ręka pani z wydawnictwa właśnie miała nacisnąć dzwonek. Była szczupłą, niespecjalnie ładną dwudziestopięciolatką. Czarne włosy upięte w krótki ogon z tyłu obłej głowy, ciemna garsonka z dobrego sklepu. Nieco zbyt grube uda. Czegoś jej brakowało jako kobiecie, ale nie wiedziałem czego. – Witam pana, to ja – uśmiechnęła się niepewnie, choć dość szeroko tak, jakby to, co powiedziała, wystarczyło za prezentację. A przecież mogła być kimkolwiek. – Mam prezent dla Księżycy – uniósła na wysokość oczu szeroko reklamowaną ostatnio karmę.

– Niestety, nie mogę teraz – odparłem, ostentacyjnie wkładając klucz do zamka z zewnętrznej strony. – Narzeczoną potrzebuje pilnej

pomocy. Miała stłuczkę i muszę natychmiast...

Nie miałem czasu wyjaśniać, że nie jest jeszcze moją żoną. Nie chciałem nikogo okłamywać, ale taki sposób wydawał mi się najszybszym wytłumaczeniem. Ku mojemu zaskoczeniu, dziewczyna wydawała się przygotowana na podobną ewentualność.

– No dobrze. Ile pan za to chce? – powiedziała, jakby stawiała kropkę.

Otworzyła torebkę i zaczęła w niej czegoś szukać. Dopiero teraz zauważyłem, że była zielona i miała dosyć nietypowy kształt rybiego oka.

– Ależ NIE chodzi o pieniądze.

– Pewnie – niemal syknęła, opuszczając ręce. – Bo chce pan przywłaszczyć sobie to opowiadanie!

Byłem tak zły za to pozbawione podstaw oskarżenie, że nawet nie umówiłem się na kolejne spotkanie, aby zamknąć tę sprawę. Tylko spojrzałem na nią dziwnie i poszedłem swoją drogą.

Wróciliśmy dopiero wieczorem. Samochód został odholowany, a koszty naprawy miały pochłonąć wszystkie nasze nadwyżki finansowe. Do tego Kiyomi otrzymała mandat.

Gdy poszła wziąć prysznic, ja opadłem na fotel i na chwilę zamknąłem oczy.

Po jak mi się wydawało, chwili, usłyszałem dzwonek do drzwi. Poszedłem otworzyć.

Stał w nich bardzo szczupły mężczyzna o zapadniętych policzkach. Podniesiony kołnierz niezręcznie zasłaniał tatuaż ośmiornicy na szyi. Jego ściągnięte usta informowały, że w napięciu lub z przyzwyczajenia zaciska zęby. Na wskazującym palcu lewej ręki zauważyłem niewielki sygnet koloru krwi. Zawierał jakąś krótką, choć zupełnie dla mnie niezrozumiałą inskrypcję, chyba po łacinie. Na jego twarz spojrzałem tylko przez chwilę, i to wystarczyło, abym poczuł lęk. Nie znałem jego powodu. Dopiero później uświadomiłem sobie, że źrenice

tego człowieka były dziwne. Właściwie całe oczy były dziwne. Czarne jak węgle, jakby nie miały białek. Ale to przecież niemożliwe.

Mężczyzna przedstawił się suchym głosem, choć nie byłem w stanie zapamiętać jego nazwiska. Od razu zażądał niezwłocznego wydania maszynopisu. Powiedziałem mu, że była już po niego dziewczyna, ale nie domówiliśmy się. Nie wiedziałem, że ma przyjść ktoś inny.

Przybysz nie dał się zbyć i zapowiedział, że będzie czekał, dopóki nie oddam listu.

– Dobrze – zgodziłem się, chcąc ostatecznie zakończyć ten koszmar. Wróciłem do środka. Przechodząc obok fotela, mimowolnie znów na nim usiadłem, walcząc z gonitwą zmęczonych, chaotycznych myśli. Ponownie zamknąłem oczy i roztarłem dłońmi twarz. Gdy je otworzyłem, już się obudziłem. Kiyomi wyszła spod prysznicza.

Jakiś czas później, chyba po upływie dwóch, może trzech dni, które przez pracę w nocy często zlewały mi się w jedno, zobaczyłem swoją podobiznę w telewizji. Akurat smażyłem jajecznicę. Dodałem odrobinę bekonu i gdy się zarumienił, wlałem jajka na wcześniej podsmażoną, bardzo drobno posiekaną cebulkę. Po kuchni rozszedł się dość intensywny zapach. Postanowiłem zjeść przy włączonym odbiorniku.

Na ekranie widoczny był mój portret pamięciowy. Zapłakana dziewczyna, która niedawno chciała odebrać ode mnie maszynopis, właścicielka zirytowanego telefonicznego głosu, stojąc obok swojego szefa o bardzo srogim obliczu (to, kim jest, wynikało z napisów towarzyszących relacji) mówiła dziennikarce, że skradziono niezwykle cenny maszynopis Murakamiego. Zadrzałem na myśl o ciągle zamkniętej kopercie, która znowu okryła się sporą już kołdrą innych papierzysk.

– Jaki przebieg miała kradzież? – dociekała reporterka.

– To było tak gwałtowne... Nie opamiętam zbyt dobrze – łgała dziewczyna.

W chwilę później stacja przeszła do kolejnych wiadomości. Wyłączyłem telewizor i starałem się zebrać myśli. Na wykonanym ołówkiem rysunku bezbłędnie rozpoznałem siebie, co oznaczało, że na pewno chodzi o mnie. Dziewczyna musiała być bardzo spostrzegawcza. Choć może niekoniecznie, bo przecież miałem dosyć pospolitą, niczym niewyróżniającą się twarz, łatwą do zapamiętania. Kiyomi wielokrotnie mi o tym mówiła. Codziennie mijałem dziesiątki podobnych do mnie, krótko obciętych brunetów bez żadnych cech szczególnych.

Przed wszystkim jednak doszło do wielkiego nieporozumienia. Przecież nie było tak, że nie chciałem oddać jej tej koperty. A już na pewno nie byłem złodziejem. Zresztą, czy w środku na pewno jest to, o czym ona mówi? I czy mogłem tak naprawdę wiedzieć, że kobieta z wydawnictwa była tym, za kogo się podaje i list w jej rękach będzie bezpieczny?

Gdy Kiyomi wróciła z pracy, wszystko jej opowiedziałem.

– Sądzę, że ta dziewczyna próbuje się ratować w oczach swojego pracodawcy i dlatego wymyśliła ten cały cyrk z kradzieżą – zakończyłem relację. – Poza tym myślę, że będzie mnie szukać policja. Ktoś z nich musiał przecież sporządzić portret pamięciowy. – To gdzie masz ten list? – zapytała Kiyomi, patrząc z wielkimi oczami zaciekawionego dziecka i małym zbłąkanym uśmiechem psotnicy. Nic nie odpowiedziałem, domyślając się, co chce teraz zrobić.

Wstała i zaczęła go szukać. W jednej chwili ogarnęło mnie przerażenie. Moja przyszła żona miała sporo energii, a jej nadmiar czasem powodował, że robiła pewne rzeczy szybciej, niż zdążała przemyśleć ich konsekwencje. To mogło przysporzyć tylko nowych kłopotów. Czytanie cudzej korespondencji to przecież naruszenie prywatności.

– Co chcesz zrobić?

– J a k to co? – zapytała tak, jak gdyby wszystko było zupełnie oczywiste od pierwszej chwili. – Otwórzmy go! Jeśli masz pójść do

więzienia, to chociaż powinienes wiedzieć za co.

Jej plany, od których na plecach przechodziły mi ciarki, pokrzyżowało głośne, bardzo stanowcze pukanie i następujące po nim wezwanie do otwarcia drzwi. Natychmiast spojrzałem w tamtą stronę i dostrzegłem przez okno, że przed domem miga światło radiowozu.

Nim się obejrzałem, w towarzystwie policjanta upłynęła cała godzina. W wyobraźni spodziewałem się kilku osiłków, którzy rzucają mnie na ziemię i krępują kajdankami, po czym wyprowadzają z domu na oczach przerażonych sąsiadów i reporterskich fleszy. Tymczasem złożyłem zeznania przy kuchennym stole i oddałem tę koszmarną kopertę. Zrobiłem to z cichą nadzieją, że tamta dziewczyna odpowie za swoje grzechy w tym i każdym przyszłym życiu. Po wyjściu mundurowego usiadłem na taborecie, mimo wszystko cały roztrzęsiony.

Patrzyłem w jakiś nieokreślony punkt w przestrzeni, który wydawał mi się coraz bardziej rozmazany.

– Teraz nigdy się nie dowiemy, co tam naprawdę było w środku – rzekła Kiyomi z nieukrywanym żalem.

Następnego wieczora w „Peter Cat” odbył się cudowny koncert jazzowy, który przyciągnął prawdziwe jak na ten lokal tłumy. Impreza, a w szczególności sprzątanie po niej, trwały do rana. Wracalem do domu naprawdę bardzo zmęczony. W takich chwilach nie miałem ochoty z nikim rozmawiać i jedyne, o czym marzyło moje obolałe ciało, to miękkie łóżko. Jednak tuż przed moją furtką drogę zastąpiła mi dość korpulentna kobieta, na pierwszy rzut oka po sześćdziesiątce.

– Przepraszam panią – powiedziałem słabo, próbując ją ominąć. Ta jednak nie ustąpiła. Wręcz przeciwnie, chwyciła mnie ciepło za rękę. Otworzyła szeroko usta i zapytała:

– To pana widziałam w telewizji?

– Nie wiem, być może – odparłem zbity z tropu. Skąd mogłem wiedzieć, czy to mnie widziała. W telewizji pokazują wielu ludzi.

– W telewizji pokazują wielu ludzi – powiedziałem jej.

– Chciałabym panu coś podarować. Proszę zaczekać.

Nie miałem pojęcia, dokąd poszła, ani jak długo mam czekać. Jednak za chwilę – a zrobiła to naprawdę, jak na swój wiek błyskawicznie – wróciła z kaktusem w doniczce. Dopiero wówczas przypomniałem sobie, że prowadzi kwaciarnię w pobliżu. W ciągu ostatnich paru lat kilka razy kupowałem u niej róże z okazji urodzin narzeczonej. Kiyomi też pewnie u niej kupowała. Zawsze, gdy tam bywałem, w środku grał telewizor. Nigdy nie widziałem tam specjalnego ruchu, więc pewnie oglądała go całymi dniami dla zabicia nudy.

– Sama nie wiem, czy to będzie stosowne... – rzekła z niepewnym uśmiechem i wyciągnęła ręce z doniczką w moją stronę, celując mniej więcej na wysokość brzucha.

– Ależ... – mimowolnie wyciągnąłem ręce po doniczkę. – Dziękuję. Jest naprawdę ładny...

Kobieta uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona z siebie. Pomachała mi nawet na pożegnanie.

– Wiesz co? – zwróciłem się do Kiyomi zaraz po wejściu do domu. Siedziała nieopodal na sofie i czytała jakieś kolorowe pismo. Ponieważ nie odpowiedziała, a ja chciałem jak najszybciej się wygadać, ciągnąłem: – Zupełnie obca kobieta zastąpiła mi drogę i wręczyła podarunek – powiedziałem, zdejmując buty. Byłem skonfundowany. – Zrobiła to tylko dlatego, że widziała mnie w telewizji. Wyobrażasz sobie?

– Naprawdę? – postać mojej narzeczonej poruszyła się wyraźnie zaciekawiona. – A co ci dała?

Zupełnie nie rozumiem, dlaczego akurat dzisiaj mi się to wszystko przypomniało. Może dlatego, że otrzymaliśmy zaproszenie na ślub znajomych? Czytałem je właśnie na ganku przed domem i tak jak wtedy, rozmyślałem nad listą, tym razem nie swoich, gości. Było wtedy ciepło, tak jak dziś, a ptak znów wyśpiewywał swoją pieśń. Jedynym,

co różniło to popołudnie od tamtego, był brak kota, który zniknął kilka dni temu. Martwiłem się o niego.

Gdy tak siedziałem, do skrzynki stojącej na skraju trawnika, dokładnie tak jak wtedy, podszedł listonosz. Zwyczajnym sobie szybkim ruchem sięgnął do torby i wyciągnął z wnętrza dość grubą kopertę. Przyjrzał mi się, jakby szukał w mojej twarzy jakiegoś rodzaju aprobaty, po czym mrugnął jednym okiem i upchnął przesyłkę wewnątrz. Natychmiast podniosłem się z miejsca.

– Czy pan mrugnął?

– Ja? Nie. Zdawało się panu – odparł z niezmaconym spokojem. Takim samym jak zawsze.

Nagle przez dziurę w płocie przelazł kot i otarł się o nogawkę moich spodni, zadzierając wysoko ogon. Był cały oblepiony brudem, ale wydawał się zdrowy i w dobrym humorze.

– O, Księżyc! – ucieszyłem się.

Listonosz już miał się oddalić, lecz gdy to usłyszał, przystanął.

– Proszę mi powiedzieć...

– Tak?

Spojrzałem w jego kierunku. Tymczasem kot zagnieździł się już na moich rękach.

– Dlaczego on tak dziwnie się nazywa?

– Księżyc? Zaraz, zaraz – pogłaskałem go czule po łebku. – To musiało być jakieś zdarzenie z przeszłości...

JACEK BRZOZOWSKI

Rocznik 79. Dotychczas opublikował *Horyzont zdarzeń* (2010 r.), powieść o tajemnicy wylatowskich kręgów w zbożu oraz *W oczach jej błękitu* (2015), współczesny thriller o wykorzystywaniu spowiedzi, jako narzędzia szpiegowskiego. W 2006 otrzymał wyróżnienie za opowiadanie *Femme Fatale* na Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Zdzisława Morawskiego w Gorzowie Wielkopolskim.



To, czego chciałem, nie osiągnąłem
– a tego, co mam, nie chciałem. Udręka życia.
Hanoch Levin

„Ryży umarł. Pogrzeb w sobotę w Św. Michale”. Wiadomość z Messenger’a zastała mnie na kanapie, piłem piwo po robocie. Jeśli on tak po prostu umarł, to ja też mogę – i to ten nagły przestрах miał znaczenie, nie Ryży. Chodziliśmy razem do szkoły, ale nie myślałem o nim od lat.

Na co on mógł umrzeć, kto może wiedzieć? Zadzwoiłem do Tomka. Nie rozmawialiśmy od miesiący. Kiedyś spędzaliśmy większość wolnego czasu, po lekcjach, byliśmy przyjaciółmi. Też dostał wiadomość. Zapytałem go, gdzie jest. Był w swoim mieszkaniu, czyli prawie dokładnie sześć kilometrów ode mnie. Ryży, gdyby żył, byłby jeszcze bliżej, na osiedlu za laskiem. Spekulowaliśmy z Tomkiem, na co mógł umrzeć. Wypadek? Choroba? Wstuchiwałem się w poruszenie w jego głosie i zrobiło mi się raźniej. On też musiał sobie uświadomić, że skoro Ryży umarł to i on by mógł. Nie będzie go na pogrzebie, bo wyjeżdża z rodziną na weekend. Ten wyjazd został zaplanowany już dawno.

Zostałem z myślą, jakby to było umrzeć za chwilę, z powodu który nie został zawczasu odkryty. Nie, jakbym tego sobie życzył, za ładnych parę lat, przez które zdążę jeszcze nadać życiu kierunek i czymś je wypełnić – ale właśnie teraz, po trzydziestce, kiedy wspiąłem się na górkę, tę moją, gdzie na szczycie nie ma szczytowania, tylko mała przestrzeń, nic własnego, jedynie wniosek, że trzeba iść dalej; gdybym teraz umierał, tonąłbym w strachu, że niczego nie ukończę, że ziemia mnie pochłonie, a wszystko i wszyscy zostaną nietknięci, niepomniejszeni przez moje odejście, rozejdą się ku szansom na wyciągnięcie ręki; ale właśnie ku czemu, co konkretnie utraciłbym, odchodząc

właśnie teraz? Ten strach bierze się ze świadomości, że może nie ma niczego, ku czemu niosę to swoje życie. Znoszę je raczej, skoro proces ten jest do powstrzymania tylko w jeden sposób, w sposób straszny, taki jak śmierć Ryżego, za to spieprzyć go można, na tak wiele sposobów. Każdy ma swój. I przez to pomyślałem o moich kolegach, którzy też dostali tę wiadomość. Małe *memento mori* przetoczyło się przez nasze miasto, w środę po roboczych godzinach, i zastanawiałem się, jak oni je przyjęli. Ci ludzie, niegdyś koledzy ze szkolnej ławki, teraz zmienieni przez to wszystko, co musieli już zrobić, żeby utrzymać się w nurcie. Dla mnie właściwie to już obcy ludzie, a ja siebie samego też nie potrafiłbym im przybliżyć, choć to wątpliwe, że ktokolwiek z nich zabiegałby o to – poznamy się po twarzach, jeśli ktoś pojawi się na pogrzebie.

Nakazałem sobie nareszcie, żeby pomyśleć o Ryżym, jako o Ryżym, chyba przez przyzwoitość, aby pomyśleć o nim, jak o człowieku, a nie impulsie, z którego wziął się przestрах. Widzieliśmy się z dwa lata temu, może więcej, na koncercie G-o. I ja i Ryży mieliśmy udział w zakładaniu tej kapeli, ale żaden z nas nie utrzymał się w składzie. G-y wydał płytę, a zważywszy na początki, kiedy grał na perkusji drutami, które po każdej piosence musiał naprostowywać, wydanie płyty było dowodem jakiejś tam stoczonej walki; nie wiem jakiej, bo odpadłem; Ryży odpadł na całego, ze wszystkiego, tak znów pomyślałem. Na koncercie promującym płytę pogadaliśmy wszyscy trochę na zewnątrz baru. Palacze i ci, co chcieli się przewietrzyć, zrobili kółko. Zaczęliśmy gadać o tym, co komu przyszło na myśl, i ktoś przypomniał Ryżemu, że ten dzwonił do niego niedawno w charakterze telemarketera, oferował abonament telefoniczny. Trochę się naśmiewaliśmy, bo nikt nie chciał tego od niego kupować... Sprzedawał przez telefon oferty, a teraz nie żyje – w głowie nie łączę się to, jako możliwe następstwo faktów. To jakaś niedorzeczność, to

na pewno miało być tylko na chwilę, ta robota przy telefonie, zanim nie zbierze się sił na coś wartego oddawania czasu. Nie potrafiłem myśleć o Ryżym, tylko o życiu i to swoim, w czym jest, gdzie bym je znalazł, jakbym był zmuszony je znaleźć natychmiast.

Przez kolejne dni przypomiinałem sobie o Ryżym przy najdziwniejszych okazjach. Najczęściej, kiedy samemu byłem w trakcie dzwonięcia do klientów. Co to właściwie ma znaczyć – klient, jak to jest tylko głos w słuchawce, nawet nie cały człowiek, i ja nie dzwonię do niego, jak do człowieka, ale jak do firmy-okazji, żeby dostać premię. Nie muszę wciskać jakichś bubli przez telefon, ale jednak – najwięcej energii w ciągu dnia poświęcam, żeby na końcu był deal. Uporczywie nachodziły mnie myśli, że Ryży nie może już nawet tego, dostać premii. I niechby nawet nie dla samej kasy jej chciał, ale po ludzku, dla namiastki sensu i zadowolenia. To właśnie te zamienniki sensu i celu mamy tuż przed gębą, i w tej perspektywie one przysłaniają nam całą resztę. I jak z tego obrazu wyłapać, gdzie człowiek popełnia błąd. I bez zadawania takich pytań, wszystko to jest ogromnie nużące. Może przez to, że jesteśmy ogłuszeni tym znużeniem, te dni i lata zaczynają się powtarzać, na którym etapie w ogóle szukać pomyłek, jeśli wątpliwe jest, żeśmy kiedykolwiek żyli, tak żeby dało się wygrać. Wszystko czekało przygotowane i obliczone dokładnie na to, aby nas kolejnych wciągnąć w tę maszynę. Dzisiejszy Syzyf wygląda tak: chłop po trzydziestce, który *schodzi* z góry, plecami przytrzymuje rozrastający się kamień – a przed gębą ma zorganizowane obowiązki, rozrywki, nawet nie pomyśli, żeby wybić się z tych kolein. I takiemu zwykle się to udaje, dociera ze swoim kamieniem do dołu.

W sobotę obudziłem się z przyjemnym uczuciem, że z łóżka wstanę, dopiero kiedy samemu zechcę. Planowałem nie iść na pogrzeb. Żeby

zdążyć, musiałbym wstać natychmiast, umyć się, wybrać odpowiednie ubrania, odprasować, ubrać, wyjść. Nie miałem ochoty spieszyć na rytuał, który i tak nie odda tego, co poczułem przez śmierć Ryżego. Po tych kilku dniach zresztą myślałem o tym wszystkim coraz mniej; pójść na pogrzeb w chwilę po otrzymaniu wiadomości – to był najlepszy moment, ale nie w wolną sobotę, zaraz po przebudzeniu. Zadzwoił telefon – Kazik, czy idę na pogrzeb? Kazika też ostatni raz widziałem na tamtym koncercie. Nie potrafiłem mu powiedzieć, ze wstydu, że nie – nie idę, bo mi się nie chce soboty poświęcać na jakiś tam obzłek co i tak Ryżego do żywych nie powróci. Umówiliśmy się pod Świętym Michałem, jak szybko dam radę.

Szedłem najkrótszą drogą, przez ogródki działkowe, ale i tak wiedziałem, że się spóźnię. Na ostatniej prostej, pod górkę, coraz bardziej stromą, szedłem najszybciej, jak potrafiłem, żeby spóźnić się najmniej jak to możliwe, bo spóźnić się na coś tak jednorazowego, to jest i niedorzeczność, i brak poszanowania. Szedłem więc coraz szybciej i może z racji tempa naszły mnie myśli, że wszystko i wszyscy, których mijam, mają w dupie, że Ryżego zaraz zakopią. Chciałem, żeby wydarzyło się cokolwiek, co uczciłoby odejście Ryżego... Klucz czarnych ptaków przylatujących niebo... Albo niechby ludzie chociaż wyrzucali z okien telewizory, cokolwiek.

Kazik czekał pod bramą cmentarza, palił, spokojnie, dostojnie, jak to on. Podałem mu rękę. Nie widzieliśmy się od dawna – ale on, żadnych zbędnych emocji – cześć – cześć, i poszliśmy zaraz szukać pogrzebu.

Za bramą musieliśmy przystanąć, bo cmentarz był długi i szeroki. Przy ogrodzeniu po prawej odbywał się pogrzeb, ale sądząc po garstce ludzi, to nie mógł być pogrzeb Ryżego. Szliśmy przed siebie, na logikę, że za chwilę poznamy po czymś, gdzie odbywa się ten właściwy pogrzeb. Nareszcie doszły nas dźwięki mszy. Dołączyliśmy do

ludzi zebranych koło kaplicy. Sporo było ludzi. Części nie było widać, siedzieli w kapliczce. Pozostali stali na schodach i jeszcze dalej, aż na alejkach pomiędzy grobami. Stanęliśmy z Kazikiem pod drzewami, bo zaczęło padać. Msza musiała się dopiero rozpocząć – ludzie właśnie przepraszaali za swoje grzechy.

Oglądałem się na zebranych. Zauważyłem dziewczynę, z którą pisałem poprzez aplikację randkową, odnaleźliśmy się po opcji lokalizacji. Coś tam nieśmiało zanosilo się umawianie spotkania. Na zdjęciach wyglądała lepiej, niż gdy tak stała niedaleko ode mnie. Nasze spojrzenia się spotkały, ale oboje spuściliśmy wzrok, bo to nie był odpowiedni moment. Na schodach do kapliczki stali koledzy ze szkoły. Stali tyłem, było poznać, kto już łysieje na czubku. Niektórzy byli z dziećmi.

Przyszedł pierwszy moment na klękanie. Kiedy wszyscy zaczęli klękać, uklęknałem i ja. Usłyszałem za sobą głos Kazika – przeciągłe i ciche:

- Klynnkej...

On sam pozostał w pozycji wyprostowanej, jak to on, ignorował, co robili wszyscy dookoła, i w tym momencie właściwie bardziej podziwiałem Kazika, niż tego kogoś, wobec którego każdy z osobna podał na kolana lub robił przysiad.

Msza trwała i moje podekscytowanie sytuacją zaczęło ustępować zwykłej nudzie, aż do momentu, kiedy wyłapałem frazę z czytania „Panie, już cuchnie. Leży bowiem od czterech dni w grobie” – w pierwszym rzędzie musiała siedzieć matka Ryżego, a ten ksiądz cytował fragment o rozkładzie. Musiał być kretynem albo tak zwaną osobą głębokiej wiary.

Mężczyźni z firmy pogrzebowej zabrali się do zaczepiania dzwonu na bocznej ścianie kaplicy. Podciągnęli go na linach, a trzeci umieścił go na drewnianej ramie. Kiedy ten dzwon, taki niepozornie

mały, został rozbujany, z każdym uderzeniem aż zamykały mi się oczy, mimo że świadomie przeciwstawiałem się temu odruchowi.

Po dzwonienu zaczęły się przygotowania, żeby wyprowadzić trumnę. Poznałem ojca Ryżego, wyszedł pierwszy. Poszedł chyba sprawdzić, czy przy grobie jest wszystko gotowe.

Ryżego w trumnie nieśli mężczyźni z firmy pogrzebowej. Kiedy nas mijali, odwróciłem wzrok. Wyobrażałem sobie, że on leży tam, tak jak chodziliśmy do szkoły, w tym samym garniturze, może tylko bledszy. Za trumną szła jego matka. Podtrzymywały ją dwie inne kobiety. Odchylała się do tyłu, tak że jej nogi było widać przed idącymi kobietami, a głowę wykręconą w lewo, za ich barkami. Za nimi szła dalsza rodzina. Potem dołączyliśmy się my, w grupie zamykającej orszak, koledzy ze szkoły i znajomi.

Z miejsca, gdzie przystanęliśmy, nie było widać grobu. Po ruchach ramion kopidołów domyśliłem się, że właśnie opuszczają go do grobu. Znowu puścił się drobny deszcz.

Przy „Ojcze nasz”, jedyny wyraźny głos w naszej grupie pochodził od M-wicza. On swego czasu szykował się na księdza. Nadawałby się. Jedynie on brzmiał, jak ktoś, kto się modli do kogoś.

Ceremonia dobiegła końca. Rodzina Ryżego rozchodziła się, tworząc kilka większych grup. Pozostali tworzyli półkole odległe od grobu.

Ścisnęliśmy się w mniejszą grupę, koledzy z klasy, ale okoliczność nie sprzyjała rozmowom. Rozstaliśmy się, życząc sobie szampowo, żeby szybko zdarzyła się weselsza okazja do spotkania.

Większość poszła w kierunku bramy, za którą był parking. Ja i Kazik poszliśmy do głównej. Odwróciłem się w stronę grobu i przypomniało mi się czemuś, jak na jedną próbę zespołu G-o Ryży przyjechał pijany. Dostał akurat od ojca gitarę z wajchą tremolo i podczas próby wydłużał wajchą każdy możliwy dźwięk.

Kazik zapytał, czy wypiję piwo. Kupiliśmy puszkowe w najbliższym sklepie. Szliśmy nasypem kolejowym wzdłuż ogrodów działkowych. W ten sposób mogliśmy najdłużej iść razem, a w punkcie rozstania każdy miał mniej więcej tyle samo do domu.

Na moście nad przejazdem Kazikowi przypomniało się, że jeden z jego znajomych spadł na tory pod nami. Był pijany, bujał się na obręczach mostu i spadł. Był o wiele młodszy od Ryżego. Idiotyczna śmierć, zgodziliśmy się, co do tego.

Podążyło coraz bardziej, długimi, grubymi kroplami. Za nasypem nasze drogi rozchodziły się. Stuknęliśmy się za pamięć Ryżego resztkami piwa. Rzuciłem puszkę do rowu i zacząłem biec, żeby uciec od deszczu, ale jeszcze bardziej, z dziwnej radości, jakby niedozwolonej, że ja jeszcze mogę biegać.

DANIEL ORZADOWSKI

Rocznik 83. Nie czyta z zasady biogramów nieznanymi osobami (w tym „pisarzy”), więc odsyła do wcześniejszych publikacji na PROwincji: prowincja.art.pl



Minęła już czwarta, a on nadal siedzi na krześle pod drzwiami. Właściwie nie musiałby tego robić. Mógłby wstać, poprawić białe spodnie i kitel, identyfikator przypięty do kieszeni. Ordynator Jan Rotz. Co robi ordynator na pustym korytarzu, na co czeka przed drzwiami sali konferencyjnej swojego własnego oddziału? Albo, jeśli już na coś czeka, czy nie powinien zająć się czymś, czekając? Na przykład wrócić na oddział zamknięty i troszczyć się o pacjentów. Albo iść do gabinetu i uzupełniać historię choroby. Jednak doktor Rotz woli tu siedzieć. Tak jak wtedy, przed dwudziestoma laty. Tylko krzesła były inne, a on nie miał własnego gabinetu. Nie był też ordynatorem, choć posiadał spore kompetencje. Decydował o losie ludzi. Był to rodzaj władzy, który każdego młodego lekarza trochę oszałamiał. Dokonywał wyborów, podejmował decyzje. To było fascynujące. Wtedy jeszcze uważał, że chodzi o zdrowie. Dopiero później – i od razu brutalnie – dowiedział się, że czasem chodzi o życie.

Doktor Jan Rotz trzyma w dłoniach dużą kopertę. Nie jest potrzebna w sprawie, która rozwiązuje się za tymi drzwiami, jednak jest potrzebna jemu. Wyjął z niej stos kartek papieru. Jest ich dokładnie trzydzieści trzy. Zapisane, zarysowane, poznaczone symbolami. Są tylko częścią całości. Razem było ich 1333 różnych, wszystkie do siebie podobne. Doktor Rotz zna na pamięć każdą literę, każdy rysunek i wykres. Mimo to wciąż na nowo do nich zagląda. Tak już od dwudziestu lat.

Największym Błędem Czasów było złamanie Prawa Postuszeństwa przez Duchy krzyżującej Nocy. Ale ja nie oddam Wam korony nigdy, Wy pajace. Wasza Władza gadowo-godowa nakazuje: Oczy zamknij i prosto maszeruj. Liczy się tylko Noc. Noc ma przeciwstawne warianty do Dnia. Zamiana Nocy w Dzień to krzywoprzysięga, która zakończy się kompletnym oddzieleniem jednej strony od drugiej. Doprowadzi do

rozpętania krwiożerczej wojny. Ale ja ucieknę, razem albo zamiennie. Mój Władca Stwórca jest tylko Jeden. Noc sztuczna Wielozłożona, posiada Naturę o Czarnych i brudnych fundamentalnych podłożach złości o sile mocy buntowniczej-agresywno-trującej. To znaczy, że posiada niewidzialne moce przemieszczające się i groźne, zagrażające Jakiemu-Kolwiek istnieniu życia w Galaktyce Przestrzeni bez Plam Planetarnych. Już zaczął się Początek i Kres depresji wybuchowo-atakowych. Jak nie ucieknę, to mnie zje. Opisuję moją historię, co nastąpi. Wasz błąd to niezrozumienie! Wy pijani, opętani przez Złe Duchy, którymi jesteście. Nie pozwalacie mi żyć w Pokoju. Skazujecie mnie na śmierć.

Doktor Rotz kolejny raz czyta, strona po stronie. Eva S., jego pierwsza ważna pacjentka. Nigdy nie udowodniono mu błędu w sztuce, przeciwnie. Podobno uczynił wszystko, co było w jego mocy.

W mojej głowie mieszka serdeczny gorąco-ognisty dobitnie śpiący Król Mocy Nocy. To Demon Największy sługa Mocy zła – Duch Wędrowiec-Orbitowiec, szatan o kurwiastym obliczu dwupasmowego tasiemca, na pół darty pierzowiec w oparach śmiercionośnego jadu zarazy paralizów, pałący żywcowo-piekielnie. I jak mam mu uciec – Ja, Ta Sama, cień w postaci Anioła, który ratował moją drugą połowę w atakach Ducha Demona. On żąda całopalenia w kościele handlującym żywymi ludogadami. Mam mieszkać pod sufitem gumowym, ubrana w sukienkę trupiastą, bo życie rzuciło mnie na pożarcie lwa i krokodyli? Ale czy Miłość to kurwa z Twojej białej mocy? Moja Głowa demona to Koło zębate, które rozgniecie mnie w miłości władczowiernej.

Doktor Rotz nadal poszukuje błędu. Dwadzieścia lat temu rozpatrywano tu jego sprawę. Przy okazji odbyła się mała wojna postu

z karnawałem. Starsi psychiatrzy, w tym ówczesny szef, chcieli umieścić pacjentkę na oddziale zamkniętym i leczyć ją wbrew woli. Odpowiadało to mężowi pacjentki, który od początku o to prosił. Opierali się młodzi lekarze, w tym on. Powoływali się na rozwijające się dopiero idee ruchu o nazwie Soteria. Według nich nawet schizofrenikowi wolno przeżyć chorobę po swojemu. Tak też twierdziła siostra pacjentki: prawo do odmowy leczenia to jedno z praw człowieka. Spierali się: Moja siostra ma prawo przeżyć swoje życie, jak chce. Moja żona w końcu kogoś lub siebie zabije.

Nie litowaliście się nade mną, kiedy uprowadziły mnie Duchy Nocy na usługi króla ciemności egipskich na tronie rzezi niemowląt klejonych rękami w waszych laboratoriach. Mówiłam wam: Nie jestem Sama. Jestem Zajęta. Ale zrobiliście ze mnie kochankę i Syn strzela do mnie piorunem na zbawieństwo Padliny Piekielnych Zatraceń. Noc skazała nas na śmierć. Noc została spakowana i pójdziemy w siną dal. Zatracimy się w Cudo-Twórczych Pięknościach. Odptyniemy spiralą drzwi zamykających się na zawsze w odwrotnym kierunku do dnia. A ty, Biały, co zrobisz z Miłością?

„Biały” to on, jej lekarz. Raz przyprowadził ją do niego mąż, drugi raz wezwana przez męża policja. Ale pacjentka nie zgodziła się ani na badania, ani tym bardziej na leczenie. Zapamiętała natomiast doktora, który nie nalegał, by zamknąć ją w psychiatryku. Biorąc odpowiednie leki, można przecież względnie normalnie żyć... Uznała go za białego boga. I zaczęła pisać listy. Jan Roth znajdował je codziennie, najpierw w szpitalnej poczcie, potem w prywatnej skrzynce.

Tak, zakochałam się w Tobie, a Duchy obrażyły się i wszyscy będziemy przeklęci na wieki zarazą nierządu. Chodzi za mną zamawiacz-truciciel

i rzuca przede mną cukierki śpiewające. Mój mózg pieni się, ale chce zasnąć. To nie kochanek i nie kurwa. Jestem w nim czysta w Osobności. Jestem brudna w miłości.

Potem zaczęła dorzucać rekwizyty. Młotek owinięty różańcem. Kwiaty spryskane czarną farbą. Miś z rozprutym brzuchem. Czerwona poduszka w kształcie serca i wbite w nią trzy noże. Sterta piór, na niej dwa rozbite jajka. Przełamany ogórek w rozbitym wazonie. Wszystko kładła na progu domu Jana Rotza. Po gołębciu z ukręconym łebkiem skapitulował.

Więc mnie nie chcesz! Nie szkodzi! Z takim doktorem nawet zdechły Pies by nie ożył z kulawą nogą. Jesteś jak inni Dyplomowani Morderco-idiotci pozujący w Odbiciu lustrzanym o mściwym jądzie ukąsań śmiertelnych. Tylko moja Historia jest Prawdziwa, bo przez pośmiewisko i zdeptanie myszowo-szczurowe przetrwała do dni Ostatecznych Sumujących ten dług od zawsze, czyli miliardowo odległościowy czas. A Głos mówi: to po Raz Ostatni. To jest ostatnie Ostrzeżenie do wszystkich skamieniałych serc o Morderczym fundamencie Złodziejskich Zamian i manipulacji Upadłościami padliny Medycznej. To jest zaproszenie do Śmierci. Odbędzie się Sąd nad wami, a mnie nie dopadniecie, Wy Padalce.

Według statystyk nawet jasno deklarowane przez chorego psychicznie pacjenta samobójstwo rzadko staje się faktem. Zazwyczaj, podobnie jak u „zdrowych” samobójców, pozostaje wołaniem o pomoc. Ale to tylko statystyka.

Dopada mnie Brudna Strona Nocy. Przyszła po spowodowanych tragicznie wypadkach w zakazanej sferze bez Dopustu. A wy,

białe duchy i Demony, może dowiedzie się kiedyś tego, co mnie objawiono. Gdzie leży Błąd i Przyczyna fundamentalnych Katastrof i Kataklizmów Tragedii. Dlaczego zbliża się Definitywny Koniec egzystencji Ludzkości wszystkich Czasów. I najważniejsze! Dlaczego zbliża się mój Koniec.

– Panie doktorze?

Otwarty się drzwi do sali konferencyjnej i dyrektor kliniki zaprosił Jana do środka. Wszedł i przywitał się z obecnymi. Oprócz audytorów byli tam przedstawiciele wydziału zdrowia oraz Kas Chorych. Siedzieli po jednej stronie stołu, do nich dołączył doktor Rotz. Naprzeciw usiedli przedstawiciele grupy Soteria. Dobrze ich znał i choć zachowywał wobec nich zawodowy dystans, nigdy nie lubił. A najbardziej wtedy, gdy nazywali go swoim guru.

– Zakończyliśmy tegoroczną kontrolę. – oświadczył przewodniczący komisji.

– Najwyższa pora – odparł doktor Rotz, starając się mówić spokojnie. – Zaburzyła pracę w całej klinice.

– Nie mieliśmy innego wyboru. – Audytor rozłożył ręce. – Obecnie tu reprezentanci Soterii zarzucili wam zbyt wiele nieprawidłowości.

Doktor Rotz wzruszył ramionami.

– Możemy już wrócić do pracy?

– Prawie. Najpierw przeanalizujemy listę zarzutów. Na szczęście nie jest zbyt długa.

Doktor Jan Rotz długo zachował spokój. Słuchał, wyjaśniał i tłumaczył. Stracił cierpliwość dopiero po dwóch godzinach.

– Pacjentka M. – Dyrektor administracyjny dotarł prawie do końca protokołu. – Jej rodzina nie jest z nas zadowolona. Złożyła skargę, a ruch Soteria...

– Co konkretnie nam zarzucają?

– Pani Mesmer nie wychodzi na spacer. Podobno nie dajemy jej możliwości wyjścia na świeże powietrze.

– Ale...

– Panie doktorze, my to sprawdziliśmy – przerwał mu najstarszy audytor. – Pytaliśmy pacjentkę, czy wychodzi na spacer. Zaprzeczyła. To jest ograniczenie praw pacjenta. A tym samym praw człowieka.

Fundament lekarzy mieści się w Wieży wypatrzeń Natury, a kurza kurwia ślepotą przymaskowana bogactwem atakuje Czystość z zardzości. Sześć Demonów – tyle zbudowała Historia Ciemnego Brudu wszystkich Czasów zakłamań od fundamentu egzystencji ludzkości – i miliardy miejsc tajnych. A teraz oni was dopadną w waszych tajemnych norach i zamkach z gumy i papieża.

– Dzień dobry, pani Mario.

– Doktor... I ilu tych innych przyszło z doktorem.

– Tak, pani Mario, cała komisja. Przyproceedziłem ich, aby w ich obecności panią o coś zapytać.

– Ale doktor coś zły dzisiaj, zły, panie doktorze. Zły coś pan, zły coś...

– Nie, pani Mario, ze mną wszystko w porządku. Proszę się mną nie martwić. Pomówmy o pani. Pytano panią, czy chodzi pani na spacer, prawda?

– Prawda... Może prawda. Prawda.

– Czy wychodzi pani na spacer?

Maria Messmer długo przygląda się swojemu doktorowi. Potem przenosi wzrok na towarzyszącą mu grupę ludzi. Potem na ścianę.

– Pani Mario? Pytałem panią, czy chodzi pani na spacer.

– Nie – odpowiada pacjentka.

– A czy pani chce? Czy kiedykolwiek chciała pani wyjść na zewnątrz?

Pacjentka z zainteresowaniem przygląda się ścianie.
– Nie – odpowiada.

ZOFIA MOSSAKOWSKA

Autorka i tłumaczka. Wydała między innymi powieści: *Akrobaci*, *Portrety na porcelanie* i *Kobiety z ptasich wysp*. Więcej informacji można znaleźć na autorskim blogu pisarki:

zofiamossakowska.blogspot.de



Nawet gdy ich nie widzę, wyraźnie dają znać, że są gdzieś w pobliżu. Jest lato, więc ich permanentną obecność zwiastuje smród gównien rozkładających się w upale. Są, czają się na którymś parapecie i nawet nie ma jak ich przegnać. Nie dość, że się ukryły, to jest ich tak wiele, że przepędzenie jednego spowoduje wzbicie się do lotu całego stadka. Zrobią rundkę honorową wokół podwórka i wrócą na miejsce. Może, w przyptywie gołębiej fantazji ostrzelają z góry niczego niespodziewające się ofiary. Może trafią z zemsty w świeżo umyte okno. *Shit happens* jak pisał Vonnegut. Choć nie wiem, czy myślał wtedy o gołębiach.

Na pewno są agresywne i zorganizowane. Raz na jakiś czas, wysyłają zwiadowcę, żeby zajrzał ci do okna i sprawdził, czy jesteś, co robisz i na co im pozwolisz. Czy chwilowo twój parapet jest tym kawałkiem terytorium, którego będziesz przed nimi bronić. Ekspansję mają w naturze.

Upodobały sobie miasto. Choć czasem je ktoś przegoni, to jednak o pożywienie i miejsca gniazdowania dużo tu łatwiej niż w górach. Odporność na stres – bardzo wysoka. Próg tolerancji niebezpieczeństwa – również. O człowieku mają na tyle niskie mniemanie, że przypuszczalnie zakładają, że dzięki sprytowi i szybkości uciekną, gdyby ten chciał im cokolwiek zrobić.

A może są jeszcze bardziej sprytnie i każdy gołąb myśli w perspektywie całego gatunku? Niczym planista wie doskonale, że w skali zagrożenia istotnego tylko dla niego, dla całego gatunku jest ono niczym? Potrafi spacerować krawędzią ruchliwej jezdni, nie zwracając uwagi na pędzące auta. Wejdzie bez wahania pod samochód, który stanął na chwilę na czerwonym świetle. Jest niczym ptasie zombie, które śmierć ma już za sobą.

Gatunek „najmniejszej troski” jak podaje dosadnie Wikipedia. Dlaczego więc któregoś dnia, jedno z tych bezczelnych stworzeń

zwróciło na siebie moją uwagę bardziej niż zwykle? A cofając się jeszcze bardziej – dlaczego ktoś je hodował i pozwolił im uciec. Kto popełnił ten błąd i kiedy? I dlaczego teraz po tylu latach te bezczelne stworzenia potrafią zadać w ostatniej chwili swojego istnienia pytanie, które zostaje w człowieku na długo i nie daje spokoju.

Styszałem kiedyś, jak ktoś z pokolenia, które przeżyło wojnę, mówił, niby żartem, niby serio, że nie ma dobrych Niemców, że dobry Niemiec to martwy Niemiec. Styszałem potem to samo o ruskich. Dobry ruski to martwy ruski. I jakoś mi to zostało. Chciałbym powiedzieć, że dobry gołąb to martwy gołąb, ale nie jest tak do końca. Gołąb, choć umiera albo już mu się to zdarzyło, zostawia samym sobą różne pytania, które długo potem pozostają w głowie. Oczywiście, jeśli tylko chce się je dostrzec. I choć jakiś czas temu nawet bym nie pomyślał w ten sposób, to jednak stało się to moim udziałem. Wszystko przez Pierwszego. Aha, i tylko żeby nie było, choć nie raz widziałem ich śmierć, nigdy żadnego nie zabiłem. Moja nienawiść wobec nich jest czysto platoniczna.

Gołębie nie mają imion. Bo kto by im je nadawał. Dlatego, ten młody ledwo co opierzony będzie się nazywał po prostu Pierwszy. Dopiero za jakiś czas. Póki co jest jeszcze gołębiem. Jest lato i to dość gorące i jeszcze nie wiem, co się niedługo stanie za pobliskim żywopłotem. Spokojnie idę skądś dokądś, jak to w życiu, a za najbliższym rogiem czeka przyszły Pierwszy. Też leciał skądś dokądś. Jak to w życiu. Z tą tylko różnicą, że mi jeszcze udaje się gdzieś dojść, a on nie doleciał i już raczej mu się to nie uda. Nie czuję do niego sympatii, w końcu jest gołębiem, ale jednak pozbawiony towarzystwa swoich pierzastych pobratymców wygląda dość żałośnie.

Siedzi, trochę piszczy i nigdzie się nie rusza. Może jest mu ciężko, bo się boi. Musi się bać. Na jego miejscu robiłbym pod siebie. A może też nie jest w stanie się ruszyć, bo siedzi na nim jastrząb. Wtedy

jeszcze nie wiem, że to jastrząb. Dowiem się o tym dopiero później. Pierwszy jest mały i dość młody, choć powiedzieć o nim, że ma całe swoje gołębie życie i gołębie plany przed sobą nie byłoby w porządku w obecnej sytuacji. Przystaję przy żywotocie i nie do końca wiem, co należy zrobić. I czy cokolwiek należy. Jastrząb jest dość pokaźny, a przez to, że siedzi na gołębiu wydaje się chyba jeszcze wyższy, niż jest. Taki prawdziwy, żywy, z zakrzywionym dziobem i żółtymi szponami. Choć patrzę na niego z podziwem, najwyraźniej nie jest to ta chwila, w której oczekiwałby jakiegokolwiek admiracji.

Pierwszy jest cały czarny, patrzy na mnie i wydaje dziwny z siebie odgłos. Nie jest to gruchanie, które rozpoznam z daleka, ale odgłos taki jaki się wydaje, będąc gołębiem, gdy się wie, że koniec jest bliski. Patrzy na mnie, ale zamiast mnie już widzi ptasią śmierć, która ma do niego dużo bliżej niż dzielące mnie od niego dwa metry. Stoję i patrzę na Pierwszego, a na mnie patrzy jastrząb. Raz po raz rozkłada skrzydła i stojąc na Pierwszym, trzyma go przy ziemi. Robi to bardzo sprawnie, a jego szpony uniemożliwiają ofierze rozprostowanie skrzydeł. On też wie, że ptasia śmierć jest blisko, ale tym razem nie przyszła po niego. Jeszcze nie teraz, kiedyś na pewno. Patrzy wyzywająco. Gdy zbyt długo stoję przed nim, otwiera swój dziób i wydaje z siebie dźwięk przypominający skowyt. Słyszałem go już przed chwilą. Musiał tak rozmawiać z Pierwszym, bo inaczej bym pewnie ich nie usłyszał, nie odwrócił się w stronę krzaków, nie został włączony w tę sytuację. To z pewnością był błąd, że w tej właśnie chwili szedłem tamtędy, że usłyszałem, że nie wiem co zrobić. A teraz jastrząb rozpościera skrzydła i wydaje ten dźwięk w moim kierunku. Stoję i patrzę, a on jest piękny.

Cichy odgłos wydany przez Pierwszego przerywa mi moje osłupienie. Ten to dopiero popełnił błąd. Leciał nie tam, gdzie powinien, a może nawet nie leciał, tylko spokojnie siedział i dziobał sobie jakieś „gównno”. Ale mógł być uważać, mógł być czujniejszy, a nie przez

swoją nieuważę stawiać mnie tak teraz w dość niezręcznej sytuacji. Widzę go pierwszy raz, ale nie wiem, kto dał mu prawo, żebym został włączony do tego teatru śmierci. Dlaczego swoim spojrzeniem zadał mi to nurtujące pytanie. Dlaczego domaga się ode mnie decyzji, czy powinien dalej żyć, czy nie. Jego życie zapewne dla niego jest dość istotne, mamy tu trochę wspólnego, też jestem do swojego dość przywiązany, ale w perspektywie populacji gołębi, jego jeszcze ewentualna śmierć, jest dość mało znacząca. Nie wiem, czy Pierwszego by to pocieszyło, ale moja nieplanowana, nienagła i jeszcze-nie-teraz śmierć, w perspektywie gatunku ludzkiego znaczyłaby równie mało.

Patrzę i nie wiem, dlaczego ta mała podstępna istota stawia mnie przed pytaniem, kto z nich powinien umrzeć. Bo pewne jest, że ktoś musi. Dźwięczą mi w głowie słowa, że jak się wyciąga kosę przeciw drugiemu człowiekowi, to musi się polać krew. Nie wyciąga się jej dla zabawy. Tak teraz też wiem, że albo musi się polać krew, albo... zaczynam rozważać inne możliwości, ale nie bardzo mają sens. Jastrząb na Pierwszym nie siedzi dla zabawy. Jego silne szpony są jak ta wyjęta kosa w ulicznej bójce.

Przychodzi mi na myśl, by czymś w niego rzucić, przepędzić i uratować gołębia. Ale czy powinienem? Z punktu widzenia Pierwszego – tak, ale nie wiem, w jakim jest stanie i czy myśli obiektywnie. A może to będzie błąd, jeśli się wtrączę? Próbując ratować gołębia, mogę przyczynić się do śmierci jastrzębia, a on dość wyraźnie wygląda na głodnego. Może to błąd z mojej strony, ale warunki bytowe jastrzębi w centrum Krakowa nie do końca mnie interesowały. Wiem tylko, że jest ich mniej niż gołębi. Szybko myślę, co taki drapieżnik mógłby zjeść zamiast Pierwszego, który chwilowo właściwie jest jeszcze tylko gołębiem, a swoje imię otrzyma niedługo. Na razie jest wrednym gołębiem, który wplątał mnie w tę sytuację. Nie wiem, co mógłby...

Jastrząb ponownie rozpościera skrzydła i wydaje dźwięk, którym wyraźnie daje mi do zrozumienia, że powinienem już iść. Może ma

rację. Patrzę na niego i wydaje mi się, że w sposób dość pierwotny powiedział mi, że jest głodny i musi jeść. Tak jakby swym gardłowym dźwiękiem dawał mi do zrozumienia, że tu się bardzo różnimy. Że on dopadł Pierwszego, bo jest głodny i że choć osobiście nic do niego nie ma, to jednak zamierza go zjeść. W tym samym dźwięku jest też i oskarżenie, bo on poluje, by przeżyć, a moi pobratymcy, choć do niektórych ciężko się przyznać, polują dla zabawy i zwykłej satysfakcji, że są tak wspaniali, że potrafią z bezpiecznej odległości zabić bezbronne zwierzę. Jastrząb ma piękne oczy. Nie widać w nich mordy. To, co się ma stać, jest czymś naturalnym. Ja idę do sklepu, by zdobyć jedzenie, a on kołuje, dopóki nie zobaczy czegoś jadalnego z daleka. Jakoś go rozumiem. Też, gdy jestem głodny, muszę coś zjeść.

Po kolejnym okrzyku jastrzębia odwracam się, a za plecami słyszę dziwne uderzenie. Sprawdzam. Jak w pokerze. Pierwszy przegrał swoją partię. Niby nic mi się nie stało, bo przecież to jest tak jak u Breughla i u Różewicza, przygoda gołębia nie jest moją przygodą.

Na trawniku jeszcze kilka odgłosów. Nie wiem, czy to już uczta, czy *miser cordia* w wykonaniu jastrzębia. Odchodzę do swoich spraw, ale z dość dziwnym uczuciem zawieszenia. Ten pisk Pierwszego i towarzyszący mu okrzyk jastrzębia zostają jakoś w uszach. Może bym je zapomniał, bo pamięć i niepamięć są w tym pomocne, ale ta dziwna dość szybka śmierć nie była ostatnią, którą dane mi było widzieć. Gdy zobaczyłem śmierć kolejnego, przed oczami stanął mi tamten – Pierwszy. Właściwie wtedy dostał to imię. Trudno powiedzieć, czy przez to, co wtedy zobaczyłem, zacząłem częściej widzieć ich śmierć i znajdować ich zwłoki. Nie wiem. Może tak ma być. Gdy, któryś popełnia błąd, staje się zwykłą martwą istotą.

LECH MIKULSKI

Reżyser filmowy, producent. Fotograf, były dziennikarz mediów lokalnych. Wykładowca akademicki. Debiutował jako jeden z autorów kolaboratywnej powieści hipertekstowej *Piksel zdroj*, w której stworzył wątek Klemensa. Prywatnie działa społecznie na rzecz Krowodrzy, w szczególności Parku Krakowskiego.

lechmikulski.com



Agatce

To była sobotka, jeden z tych dni, w które nie trzeba było się spieszyć, bo wiadomo, że po niej następowała niedzielka, równie leniwa, równie przyjemna. Dochodziło południe, a oni jeszcze byli w koszulkach nocnych (Ania miała na sobie prawdziwą koszulę nocną, on – koszulkę ze Strusiem Pędziwiatrem i bokserki). Jedli prawdziwie królewskie śniadanie. Był szwedzki stół, kanapki, jajka na twardo, kiełbasy, pomidory, margarynka, herbata, cukier w kosteczkach.

– Podaj mi frankfurtereczkę – poprosiła Ania i roześmiała się. Tym śmiechem kiedyś go zauroczyła. – Żartowałam, Szymon. – Dziwne, że przy swojej kreatywności nigdy nie mówiła do niego inaczej. Żadnych „Szymusiów”, „Szymeczków”, „Szymonków”. – Frankfurtereczka. Trzeba zapisać, zapamiętaj.

Najchętniej zapomniałby o „franfurtereczce”. To słowo nieoczekiwanie go uraziło. Zupełnie jakby znalazł kamyk w chlebie (Ania powiedziała „kamyczus” albo on by tak powiedział) i próbował rozgryźć niespodziewanego gościa, byle zachować dobre manierki i go nie wypluć na talerz. Zrozumiał, że ma ten kamyk w ustach już od dłuższego czasu. Te godziny nudki, wybuszki, niepokojki, to wszystko przez ten kamyczek. Jak kamyczus nerkowy. Mały, drobny, a jednak boli, skurwysynek.

Nie, żeby taka „franfurtereczka” to było coś dziwnego. On i Ania, jak każda para, wyrobili sobie swój własny język. Połączyło ich jedno z takich słów i już od czterech wspólnych lat wymyślali takie zdrobniące koszałeczki-opałeczki, żyli wśród nich, w wygładzonym wypieszczonym świecie, trochę różowiutkim.

– Może pójdziemy do multikinka? – zapytał ją przed pierwszą randką. To „multikinko”, tak głupie, jak intrygujące, miało być przynętą. Ona

się roześmiała, a Szymon zakochał się w jej śmiechu. Umówili się. Przed seansem zasypywała go słowami, czy może słoweczkami. Żadnych tam pospolitych „pieniążków”, „muzyczki”, „kawusi”, „szyne-
czek”, częstych w ustach niektórych irytujących ludzi. Ona wymyśliła „Kambodżkę”, „więzionko”, „wiwisekcyjkę”, „pisemko święte”, „pod-
śmiechujeczki”, „podmiocik domyślny”, czy „śledzionkę”. Nie mógł być jej dłużny, powiedział: „psychopacik”, „nieszporki”, „oceanik”, „rekinek ludojad” (– Ludojadzik – wtrąciła), „kręgośtupek”, „biurko podróży”, „dowcipki”, „orzeczonko elidowane”, „wielki wybuszek”. Pomyślał też o „dziwecze”, ale tym się nie pochwalił. Ania się śmiała.

Dziwili się, że tak ich wciągnęła ta zabawa. Choć oboje skończyli polonistykę, żadne z nich specjalnie nie interesowało się polszczyzną. Ledwie radzili sobie z esceesem, gramatyką historyczną, tymi wszystkimi jaćkami i jerusiami, nudził ich de Saussure ze swoim langue i parole, nie znosili fonetyki. Ona pisała pracę z Ballad i romansów Mickiewicza, on z wątków feministycznych w nowelistyce Konopnickiej. W ogóle znalazł się na polonistyce z przypadku, wiedział tyle, że nie dla niego Politechniczka, nie dałby sobie też rady na prawku czy medycynce. Potem go wzięto. Ania twierdziła, że polonistka mu była potrzebna tylko do tego, aby spotkać miłość, już na metce studiów.

Na początku żałował tych czterech lat, gdy Ania była dla niego jedną z wielu Ań na wydziale, tak samo zwykłą, jak jej imię. Wymieniali tylko nieznaczące „cześć” na uczelnianych korytarzach. Dopiero na piątym roku zdążyli ze sobą zamienić kilka innych słów. Tak się zaczęło. Potem była randka w „multikinku” i cała reszta.

Po studiach musieli się zmierzyć z bezrobociem. Nie było im do śmieszku i już nie zdrabniali swego życia, języka, otoczenia. W końcu Ania ukończyła przyspieszone kursy i przebranżowiła się na kosmetyczkę. On znalazł pracę w call center, ale nie umiał odnaleźć się jako

korposzczurek. W końcu został zatrudniony w firmie ogrodniczej ojca. Wynajęli z Anią kawalerkę i zamieszkali razem.

– Jestem twoją konkubinką – powiedziała Ania pierwszej nocy w jeszcze nieumeblowanym mieszkaniu. Siedzieli na wytartej macie plażowej i jedli kanapki z serem pleśniowym i zapijali czerwonym winem. Nierozpakowane walizki na kótkach stały obok.

Ta „konkubinka” to był ich powrót do zdrabniania. Zgromadzili całą kolekcijkę zdrobnionek. Zbierali je, jak niektórzy zbierają pocztówki albo lajki na Facebooku. Słowa biegły przez dwie strony Wordowskiego dokumentu, a pod nimi oskarżycielsko-czerwony tasiemiec przetykany spacjami.

Ludzie nigdy nie przywykli do takiego języka. Krzywili się, jakby usłyszeli coś nieprzyzwoitego. Ania czasami specjalnie używała zdrobnionek, aby ich drażnić.

– Mówcież normalnie, no, jak ludzie, no! – powtarzał jego ojciec, gdy wymknął im się „mrówkojadzik” albo „oreganko”, czy jakiś tam „kosmosik”.

– Że też wam się to nie znudzi, to jest takie irytujące! – denerwowała się matka Ani, o której Szymon mówił: mamusia-jędzusia. – Będziecie kiedyś na jakichś rozmowach kwalifikacyjnych, w teatrach, w restauracjach i będziecie tak mówić, to was ludzie kulturalni wykpią, wyśmieją, wyrzucą, oplują!

– Nadużywanie zdrobnień to jest błąd, językowy błąd – powiedział kiedyś ich wspólny przyjaciel ze studiów. – Nie będę się wtrącać, ale my, poloniści, powinniśmy dbać o estetykę języka! – Kiedy wymawiał nosóweczki, to brzmiało tak, jakby miał w ustach coś kleistego, czego nie umiał przełknąć.

– Bez patosiku, stary, to nie błędy, tylko zabawa! – zaoponował Szymon.

– Stareńki! – zachichotała małżoneczka przyjaciela.

– Są różne błędy, kochani! – odezwała się jeszcze jedna absolwentka polonistyki w tym gronie, nauczycielczka. – I to takie, że, och! Szkoda słów i nawet słówek! Ludzie teraz nie znają ortografii, nie dbają, piszą „zótko” przez ó otwarte, „gżegżótkę” przez erzet, piszą „kielczanka” z dużej, „Kartagińczyk” z małej, „mrówków”, „poszłem”, a my tu o zdrobnieniach, naprawdę, kochani... To nawet nie są błędy, to jakieś błędziki, zbłądzonka, żeby przy zdrobnieniach pozostać.

– Nie, to nie błędy. To taki bunt – odezwała się Ania zdumiewająco poważnym głosem. – Przeciwno konwenansom, poprawności językowej, przeciętności. To tylko nasze, nikomu nie robimy krzywdy. Taki mały bunt.

– Buncik – poparł ją Szymon.

Dobrze im się żyło. Pracowali, wydawali, zazwyczaj więcej pieniędzy niż powinni, jedli, wyznawali sobie miłość, uprawiali seks (i wtedy się nie odzywali w obawie przed zdrobnieniem, które mogłoby zepsuć atmosferę), spotykali się z przyjaciółmi, kłócili się, chorowali i zdrowieli, martwili się o to, że kiedyś zamiast emerytury dostaną „emeryturkę”, czasem latem wyjeżdżali na zbyt krótki urlop. Snuli plany na kolejne lata – wspólne kontko bankowe, kredycik, własne gniazdeczko, ślub, dziecko, może dwoje. Czasem łąpał się na myślach, że trochę byle jakie to życie, że gdyby nie zdrobnienie, to by byli całkiem jak miliony innych par, innych Ań i Szymonów. Typowy bohaterek swej własnej trywialnej historii i przeciętna heroinka. Nigdy się tym z nią nie dzielił. Nie widział żadnej alternatywy.

I teraz, w sobotnie południe, Ania powiedziała „Podaj mi frankfurtereczkę” i to pierwszy raz zabrzmiało w uszach jak pisk źle ustawionego mikrofonu. W pierwszej chwili miał ochotę powiedzieć jej „spierdalaj”, zwyczajnie, żadnych zdrobnień, spieszczeń, plasterków na skaleczonka. Przypomniał sobie irytację swego ojca, kazanka musi-jędzusi, niesmak znajomych. Pewnie później ich obgadywali:

„To takie infantylne”, „Tak, to wkurza, jak oni się tak popisują!”, „Ale ja ci powiem, że to ona jest taka, on był inny dawniej, przy niej dopiero tak, wiesz”.

– Ania, nie wydaje ci się to głupie, te zdrobnionka? – spytał. – To wszystko jest takie, nie wiem, rozciapciane przez to.

– Co ty! – odparła, jeszcze z uśmiechem. – Człowiek jest wtedy, jakby był na hajku!

– Haiku to w Japonii!

– Szymon, przecież to jest nasze! – po raz pierwszy wydała mu się zaniepokojona. – Tylko nasze! Ja wymyśliłam nowe! Estymka, horrorerek, zakupki, cholerka, katastrofka, powstanko – powiedziała na jednym wdechu. – Trzeba zapisać, odpalaj kompka! I jeszcze wicherka! Tornadko! Prezydencik! Erekcycja!

Paplała dalej, po swojemu głośna, wiecznie zdrobniąca. Była jego kacikiem. Każde spieszczone słówko drażniło jak łaskotka. Przypomniawszy sobie, jak lubili wspólnie patrzeć w niebioska (to był pomysł Ani, zastępnik zaproponowanego przez Szymona niebka. „Niebko, to jest już coś takiego, takie szkiełko, co się coś tam daje do ziemi i coś tam”, powiedziała). Myślał o zapowiedzianej przez Anię katastrofce, która niechybnie nadchodziła. Kto by przypuszczał, że to akurat zdrobnienia staną się jego traumą?

– Nie rozumiesz, że wszystko, co zdrobniące, to jest tylko jakieś ćwierć-życie! Żyćko zaledwie! – krzyknął, aby choć awanturka stała się awanturą. – Życie do dupki! – rzucił, zadowolony z własnej wulgarności.

Patrzył na chlapiącą Anię prawie bez emocji. Często płaczem wymuszała na nim pojednanko. Udało jej się wzbudzić w nim co najwyżej wyrzutki sumienia, poczucie winki. Nie chciał wierzyć w jej dramat, to był tylko dramacik. Nie uznawała zdrobnień za błędy. Wydawała się zdeorientowana. Jeszcze nie rozumiała, że „frankfurtereczka”,

niepozorna, niechciana właściwie kiełbaska, stygnąca w garnku z ukropkiem, przepełniła czarkę nieuświadomionej goryczy. To był prawdziwy błąd.

A jednak to trochę bolało, kłuło, w środeczku takim nieznośnym irytującym bólkim. Myślał o cioskach, które on i Ania będą wymieniać w najbliższych miesiączkach, o wzajemnych nokaucikach, które w końcu doprowadzą do kresiku. Zagubiony, rozejrzał się dookoła, dostrzegł brudne talerze, nieapetyczne jajka na twardo, z których spływały gęste lawinki majonezu, oderwaną listwę przy drzwiach, rozkopaną pościel na łóżku, gdzie oddawali się piśszczotkom, zdjęcia na ścianach uwieczniające najlepsze momenciki ich miłości. Ogarnął wzrokiem cały ten miniwszechświat, który niedługo miał się skończyć. A może to był tylko wszechświacik.

MICHAŁ PAWEŁ URBANIAK

ur. 1987, krytyk literacki, prozaik, nauczyciel kreatywnego pisania. Uzależniony od książek. Literatura jest jego codziennością, marzeniem, miłością, ambicją, życiem. Wierzy w to, że każdy dzień przynosi historię do opisanania.

BŁĘDNE TREŚCI

- 7 Wstępniak, Jagoda Cierniak
- 11 Nieznajomość popkultury szkodzi, Lucjan Gregory
- 15 Woda, Olga Ślepowrońska
- 23 Zaginione opowiadanie Murakamiego, Jacek Brzozowski
- 39 Ryży umarł, Daniel Orzadowski
- 51 Pacjentka, Sonia Mossakowska
- 61 Pierwszy, Lech Mikulski
- 69 Finiszek, Michał Paweł Urbaniak

